



Bogusław Śliwerski

Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie

ORCID 0000-0002-3875-8154

O uniwersyteckim harcowaniu
Artykuł recenzyjny: B. Karpińska-Musiał (2021).
Harcowanie na planie. Her-storia stawania się
matką akademicką w polskim uniwersytecie.
Lublin: Wydawnictwo Episteme, ss. 496

Wydana w 2021 roku przez Beatę Karpińską-Musiał monografia pt. „Harcowanie na planie. Her-storia stawania się matką akademicką w polskim uniwersytecie” zasługuje na szczególną uwagę z kilku powodów, którymi podzielę się jako jeden z harcówników na uniwersyteckiej ścieżce Jej herstorii. Na 496 stronach autobiograficznej „inwentaryzacji” życiowych zdarzeń matki-akademiczki, która doświadczyła porażki w postępowaniu habilitacyjnym z pedagogiki, przeczytałem jednym tchem. Książkę warto przeczytać jako interesująco skonstruowany autoterapeutyczny manifest, który być może nigdy by nie powstał, gdyby nie rozgoryczenie nauczycielki akademickiej odmową nadania jej stopnia doktora habilitowanego. Tytuł książki jest jednak mocno mylący, gdyż krytyczne studium nie dotyczy polskich uniwersytetów, ale dwóch, które, jak dwujednia dobra i zła, stały się dla autorki sceną dla odczytania na nowo polskiej akademii przełomu milenijnego. Rzecz dotyczy Uniwersytetu Gdańskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Gdańska pedagożka trafnie sięgnęła po metaforę teatru, by spróbować zrozumieć swoistość akademickiego świata, w którym zderzyło się jej osobiste życie kobiety, żony, matki podejmującej się wielu („aktorskich”) ról zawodowych ściśle związanych z kształceniem dorosłych (kursantów szkół językowych, studentów), z niespodziewaną reakcją niezadowolonej z jej gry „publiczności”. Do metafory teatru skłoniły ją słowa autora inwokacji

„(...) As you like it: rolę człowieka jako aktora, który pojawia się na scenie, by odegrać swą rolę, jest z niej zniknąć. (...) Czy pojawia się po to, by zniknąć właśnie?” (tamże, s.17)

Każdy z nas, bez względu na doświadczane sukcesy i porażki znika ze sceny, by pojawili się na niej nowi aktorzy. Nie zahamują tego procesu zjawiska, z jakimi spotykamy się w środowisku akademickim, naukowym: manipulacje, fałszowanie faktów, cynicznie prowadzone intrygi, hipokryzja, tworzenie „brudnych wspólnot”, nierzetelność, nieuczciwość, itp., itd. Z tymi zjawiskami już mało kto chce walczyć, a tym bardziej je ujawniać, bo natychmiast traktowany jest jako ten zły ptak, co własne gniazdo kała. „Brudne wspólnoty” są w akademii, we wszystkich uniwersytetach, także naszego kraju, we wszystkich dziedzinach nauk. Środowisko akademickiej pedagogiki podejmuje jednak trud ujawniania wielu patologii we własnej dyscyplinie naukowej, która została administracyjną decyzją przeniesiona w 2011 roku z dziedziny nauk humanistycznych do nauk społecznych.

Przypomnę tylko dwie z wielu moich rozpraw odsłaniających stan i zakres łamania kodu etycznego przez niektórych doktorów i profesorów pedagogiki (Śliwerski, 2017; 2018; 2021). Od początku pracy naukowej zajmował się tą problematyką badawczo i pisarsko, demaskując ukryte i szkodliwe procesy w szkolnictwie, socjalizacji, edukacji publicznej i nierzetelności w pedagogice także Zbigniew Kwieciński (2007; 2019), a w naukoznawstwie m.in. Janusz Goćkowski (2000). Nie można jednak na tej podstawie wnioskować, że wszystkie uczelnie i wszyscy naukowcy oraz zespoły badawcze są dotknięte wirusem pseudonauki. Dewiacje w postępowaniach awansowych były, są i będą, gdyż akademicka „scena teatralna” zatrudnia różnych scenarzystów, reżyserów spektakli, scenografów, z którymi Beata Karpińska-Musiał także się spotykała, współpracując z jednymi, a unikając drugich. Mam świadomość wielu zjawisk, ale obciążanie przyczyną tego stanu rzeczy wszystkich innych z pominięciem samej siebie, chociaż jest terapeutycznie potrzebne, bo pozwala oczyścić własną psychikę z toksyn, które nagromadziły się w ciągu kilkudziesięciu lat życia, to jednak jest ucieczką od prawdy.

W tle fascynująco napisanej autobiografii, bo recenzowana książka nie ma wiele wspólnego z autoetnografią, jest skrywana, wypierana bolesna prawda, której autorka nie zamierzała dociec, by podtrzymać poczucie koniecznej równowagi psychospołecznej we własnej aktywności zawodowej. Są też w tej książce fałszywie podane dane tak, by założona teza znalazła na końcu swoje pełne potwierdzenie. Metodologia nauk określa ten zabieg mianem samospełniającej się hipotezy. B. Karpińska-Musiał otrzymywała bowiem w toku własnego postępowania habilitacyjnego wszelkie wyjaśnienia

dotyczące procedur, powodów zaistnienia określonych zdarzeń, ale nie przyjęła ich do wiadomości, bo nie pasowałyby do całości samorozumienia i samoutwierdzenia się w tym, co postanowiła przekazać światu.

Szkoda, bo powrót do zdystansowanego (w)oglądu nie tylko treści recenzji, jakie otrzymała, ale także w niedoczytane przez nią źródła wiedzy naukowej, mógłby pozwolić Jej spojrzeć na efekty własnej pracy akademickiej. Być może fenomenalnie opisana praca dydaktyczna, glottodydaktyczna, której poświęciła się z ogromną pasją i zaangażowaniem, została dostrzeżona i doceniona przez komisję habilitacyjną. Przyznam szczerze, że nie posądzałbym żadnej z osób oceniających ten dorobek jako nacechowany intencją czy jakąkolwiek formą postawy typu „zgnojenie” (Karpińska-Musiał, 2021, s. 496), wrogość, cynizm czy „(...) brak szacunku do drugiego człowieka” (tamże, s. 434).

Tego typu osądy, choć znajdują swoje emocjonalne podłoże, to jednak pokazują, że jako habilitantka projektuje na oceniających jej publikacje własny sposób postrzegania innych jako ekspertów. Nie bierze pod uwagę tego, że w postępowaniu habilitacyjnym nie liczą się dokonania dydaktyczne. Tak więc o ich nieuwzględnienie jako głównego zasobu kapitałowego przez część członków komisji powinna mieć żal do ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Natomiast w pełni zgadzam się i rozumiem, kiedy pisze: „Porażka akademicka boli potrójnie. I chociaż bywa też pouczająca, a nawet często żłobi nasz charakter w sposób bardzo znaczący, to w przypadku matek jest bliźną również na naszej funkcji i roli w prywatnym życiu. Graweruje, wypala nam bowiem tę bliźnę na sposobie myślenia: o świecie pracy, nauce, o własnym poczuciu wartości” (tamże, s. 434).

Właśnie dlatego warto przeczytać tę książkę, by dostrzec to, co być może dla wielu mężczyzn, ale także kobiet w środowisku uczonych jest pomijane, niedostrzegane czy może brane w nawias. Autorka stawia w swojej rozprawie jako dominantę i usprawiedliwienie dla niewnikania w naukowe powody Jej porażki, kwestię płci i związanego z nią macierzyństwa. Już bycie kobietą w nauce stwarza bariery, ale staje się zarazem przywilejem ze względu na inny rodzaj patologii akademickiej, jakim jest prostytuowanie się dla uzyskania awansu naukowego. Każdy kij ma dwa końce. Podobnie jest z genderową argumentacją sukcesów lub porażek w kategoriach za i przeciw. Jak sama przyznaje: „Nie uczyniłam macierzyństwa formalnym elementem swojej kariery, co uważam dziś. Natomiast naświetliła w CV równoległą do macierzyństwa, intensywną pracę zawodową w tym czasie, która także nie zniwelowała absurdalnej, pozamerytorycznej wzmianki o długości czasookresu od magisterium do doktoratu” (tamże, s. 427).

Nie postrzegam tego jako błędu. Jestem nawet zaskoczony, że tak to zostało odebrane z treści jednej z recenzentek, bo można tę uwagę, a nie akt dyskryminacji (o to nie podejrzewałbym tej recenzentki) odczytywać zupełnie inaczej. W zupełnie innej sytuacji startowej i wynikowej są kobiety-doktorantki, które tuż po studiach intensywnie włączają się do badań naukowych, (nawet będąc żonami, matkami), studiują na bieżąco literaturę przedmiotu, uczestniczą w międzynarodowych i krajowych formach aktywności akademickiej (konferencje naukowe, staże, projekty badawcze itp.), a w zupełnie innej znalazła się z własnego przecież wyboru, o czym pisze, Autorka tej książki. Członkowie komisji habilitacyjnej nie oceniali negatywnie tego faktu. Tymczasem czytamy: „Czymże to jest, jeśli nie dowodem na jawną dyskryminację w aurze haseł o równouprawnienie, dyskredytacją wartości indywidualnych wyborów w czasach promowania akademickiej wolności? Świadectwem przemocy symbolicznej?” (tamże, s. 427)

Można zatem zapytać, czy fakt zainteresowania się z konieczności pracą naukową w wyniku podjęcia jej w uniwersytecie na stanowisku adiunkta nie jest świadectwem przemocy symbolicznej, tylko w duchu bezwarunkowej samoakceptacji dla wcześniejszych wyborów drogi życiowej i zawodowej? Być może łatwiej jest o sukces akademicki małżonkom, którzy prowadzą badania i ubiegają się o awans w ramach tej samej dyscypliny, czego mamy dowody w pedagogice społecznej, w historii wychowania, w pedagogice porównawczej itp. Autorka „musiała”/chciała podporządkować swoją karierę awansom naukowym męża, który reprezentował zupełnie inną dziedzinę i dyscyplinę nauk. Rozumiem i podzielam opinię na temat specyfiki bycia naukowczynią właśnie ze względu na znakomicie odtworzoną przez B. Karpińską-Musiał wielość pełnionych przez kobiety ról.

Sposób, w jaki opisała smak sukcesów i porażki jest ujmujący, emocjonalnie przekonujący, bowiem osadzony jest nie tylko w języku literackim, o udostępnione nam własne, piękne wiersze, ale także jest wzbogacony o naukową wykładnię życiowych zdarzeń. Książka została skonstruowana w kilku gatunkach literackich, co już samo w sobie jest pisarską sztuką. Znajdziemy w tej monografii narrację stricte naukową, eseistyczną, reportażową, publicystyczną i poetycką. W każdej z nich porusza się finezyjnie, miejscami bardzo subtelnie, ale bywa, że nazbyt wyraziście. Uwielbiam takie studia, bowiem są odsłoną w dużej mierze osobistych doznań, przeżyć, wrażeń, a w tym przypadku Autorka okazuje się znakomitą obserwatką ludzi, świata i zachodzących w nim zdarzeń.

Książka powinna być znaczącą lekturą na studiach nauczycielskich, pedagogicznych, nie tylko dlatego, że podejmują je w większości kobiety.

Zmiany kulturowe i na rynku pracy są już tak duże, że także w polskich uczelniach przeważają kobiety. To, że jeszcze nie zdominowały akademickiej sceny „sądowniczej” także ulegnie transformacji, ale mogę przypuszczać, że w ocenie osiągnięć naukowych innych kobiet będą bardziej rygorystyczne niż świadomi ich ról społecznych mężczyźni. W grę bowiem wchodzi imponderabilia. Pedagożka przywołuje niektóre absurdy prawne, z jakimi zderza się każdy doktorant, habilitant czy kandydat do tytułu profesora, jak np. nierówność zobowiązań temporalnych. Ubiegający się o stopień musi złożyć odwołanie w granicznie określonym terminie (termin zawity), a recenzenci w postępowaniu awansowym nie (dla nich jest termin instrukcyjny). W innym miejscu wyjaśniam różnice między nimi (Śliwerski, 2017), których uczona znać nie musiała. Wystarczyło jednak wpisać do wyszukiwarki kategorię „termin instrukcyjny”, by dowiedzieć się, co on oznacza i dlaczego musi być stosowany w większości ustaw powiązanych z kpa w naszym kraju.

Jednak dotychczasowa krytyka tego typu pozornego absurdu nic nie daje, gdyż najpierw trzeba zastanowić się nad tym, jakie są powody natury administracyjno-prawnej tego rozwiązania. Tłumaczenie tego stanu prawnego nie ma sensu, skoro ktoś nie przyjmuje do wiadomości, że nie ma to nic wspólnego z dyskryminacją czy nierównością podmiotów wobec prawa. Zachęcam do lektury komentarzy prawników. Z jednej strony Autorka utrwała przeświadczenie, że zawsze kierowała się wolnością, samostanowieniem, a z drugiej strony temu zaprzecza, kiedy przyznaje, iż zanim złożyła wniosek habilitacyjny zapoznała się z tekstami autoreferatów innych habilitantów, podobnie jak po odmowie nadania jej stopnia doktora habilitowanego czytała uzasadnienia odwołań od takich uchwał innych porażkowiczów. To w końcu jak to jest z tą autonomią? Czy to dzieła mają stanowić o wartości naukowej kandydata, czy sposób ich przedstawienia w autoreferacie, który w ogóle nie podlega ocenie, waloryzacji, nie jest dziełem naukowym?

Autorka recenzowanej rozprawy ma żal, że w pierwszej instancji oceny jej osiągnięć miał miejsce „sąd kapturowy”, bo istotnie członkowie komisji habilitacyjnej odrzucili wniosek przewodniczącego komisji habilitacyjnej o zaproszenie jej jako habilitantki na posiedzenie tego gremium. Kiedy pozytywnie odniosła się do tego faktu Sekcja Nauk Humanistycznych i Społecznych Centralnej Komisji, by jednak uchylić uchwałę rady wydziału i powrócić w procedurze do obrad komisji z udziałem habilitantki, to ona sama potwierdziła, że już nie miała siły i chęci do przygotowania rzeczowych odpowiedzi na przesłane jej pytania. Trudno zatem zgodzić się z jej stwierdzeniem: „Porażka awansu naukowego w dyscyplinie pedagogika w moim przypadku pokazała dywersyfikację sposobów myślenia o wolności

naukowej między reprezentantami nauk społecznych a humanistyką (co już sygnalizowałam wcześniej), a także zróżnicowania myślenia o tym, co stanowi ogólnie podstawę do awansu” (tamże, s. 384). Nie jest dowodem na ten stan rzeczy porównawcze przedstawienie odmiennego podejścia do badań pedeutologicznych w referatach na konferencji na Malcie przedstawiciela Uniwersytetu w Białymstoku i uczonego z Uniwersytetu Maltańskiego (tamże, s. 355).

Badania w paradygmacie ilościowym w naukach społecznych muszą być prowadzone we wszystkich krajach tak samo, bez względu na to, czy ktoś jest za wolnością ich konceptualizacji i realizacji, czy też nie. Polska pedagogika odeszła już ponad trzydzieści lat temu od monoparadygmatyczności i monotoretyczności, a już na pewno nie jest w swej całości nauką ideologiczną, co usiłuje jej przypisać. W tym sensie rację mieli oceniający osiągnięcia naukowe habilitantki, że powinna jednak douczyć się. Tego typu wskazanie nie jest przecież obraźliwe, skoro zachęca do szerszych i głębszych studiów z metodologii badań. Autorka sama przyznaje w innym miejscu: „Bo przecież ‘być akademikiem’ oznacza nieustannie się uczyć samemu, by potem współtworzyć tę wiedzę ze studentami i ich inspirować, prawda?” (tamże, s. 353)

Powyższe jednak podejście do współtworzenia nauki jest zgubne, bowiem od studentów nie można nauczyć się zbyt wiele. Natomiast na pewno młody uczony powinien weryfikować swoją wiedzę w procesie ich kształcenia. Kiedy jednak zamierza opublikować wyniki własnych badań, to powinien uprzednio zasięgnąć opinii koleżanek czy kolegów z tej samej lub różnych dyscyplin naukowych, w zależności od przedmiotu swoich diagnoz. Tymczasem B. Karpińska-Musiał przyznaje: „Nie czułam też długo potrzeby budowania relacji prywatnych w gronie ‘przyjaciół naukowych’, mimo że nawiązałam kilka długotrwałych znajomości przez te kilkanaście lat. (...) Harcowałam naukowowo różnych polach z pełną swobodą, w dodatku ze wsparciem mojej macierzystej jednostki” (tamże, s. 352-353). To może zawiedli ci „przyjaciele” i jej macierzysta „jednostka” akademicka, skoro współpracownicy nie uczulili jej merytorycznie i metodologicznie na niedostatecznie czy niewłaściwie ujętą zawartość treści w książkach i artykułach, co do których recenzenci mieli w tym zakresie istotne zarzuty?

Nawiązując zatem do metafory teatru można stwierdzić, że reżyserzy sztuki teatralnej obsadzają w monodramie aktora, zapewniając o rzekomo znakomitej grze, podczas gdy spektakl z udziałem kolaudatorów sztuki może nie znaleźć ich uznania. Być może trzeba żal, gorzkość porażki skierować nie tylko do siebie, ale także owych reżyserów i scenografów uniwersyteckiej

nauki? Nikt z komisji nie podważał wartości osoby habilitantki, jej dokonań, co suponuje w autonarracji, gdyż w części analiz i ocen znalazły one bardzo pozytywny wydźwięk. Nie ma też racji, kiedy swoje sądy uogólniające na całe środowisko akademickie wpisane w introspekcyjną autobiografię kieruje do wszystkich tych, którzy mieli niepowodzenie w postępowaniu doktorskim czy habilitacyjnym. Każdy zbiór przedkładanych do oceny osiągnięć jest przecież inny, tak jak każdy z nas jest inny. Ma oczywiście rację, kiedy pisze, że rada wydziału nie musiała zaakceptować negatywnej konkluzji komisji habilitacyjnej. Nie docieka jednak, czy uczyniła to słusznie, skoro przyznaje tylko sobie prawo do niezależnej oceny.

„Żałowałam tych ośmiu lat ciężkiej pracy, których już nie mogła cofnąć. Plułam w myślach na patologiczny system, w którym procedury i merytokracja istnieją tylko na papierze, a wymaga się ich w realnym działaniu tylko od habilitantów. Że przepisy ustawy mogą być tak bezkarnie łamane, a etyka zawodowa i profesjonalizm, w które tak wierzyłam przez całe życie, nie wszystkich obowiązują. Albo mają po prostu inną definicję. Jak ja to wytłumaczę moim synom? Jaki to przykład praworządności i uczciwości administracyjnej stanowi? I co najgorsze, jak im wytłumaczę tak wysoce uznaniową politykę akademicką oraz to, że moja praca - rzekomo tak prestiżowa, w ich oczach elitarna i rozwojowa - doprowadza mnie do obecnego stanu psychicznego?” (tamże, s. 323). W książce jest mowa o odwołaniu się autorki od uchwały rady jednostki akademickiej, które uznała Centralna Komisja, zobowiązując członków uniwersyteckiego organu do ich naprawienia. Kwestie merytoryczne były po jej stronie, a tych nie potrafiła obronić. Nie mogę zatem zgodzić się z tezą, chociaż rozumiem jej emocjonalny kontekst: „Nie zależało mi na laurkach albo wciągnięciu do „rodziny”, ale zależało mi na szacunku, którego mi w skandaliczny sposób nie okazano” (tamże, s. 296).

Ubieganie się o habilitację nie jest, jak w przypadku bycia rekomendowanym do Polskiej Akademii Nauk, zabiegiem o „wciągnięcie do rodziny”, gdyż jako habilitantka nie zabiegała o wejście do środowiska naukowego jednego z najlepszych - jak pisze - uniwersytetów polskich. Postępowania habilitacyjne są indywidualną rywalizacją w sferze osiągnięć naukowych a nie cech personalnych. Być może we własnym środowisku byłaby przez część środowiska postrzegana jako jeszcze jedna doktor habilitowana z pedagogiki, ale w to wątpię, znając jej macierzyste środowisko akademickie. Tymczasem wybrała do przeprowadzenia postępowania habilitacyjnego najlepszy uniwersytet, gdzie być może wymagania są znacznie wyższe niż w jej własnym.

Warto jeszcze wprowadzić korektę faktograficzną, a dotyczącą terminu składania wniosków habilitacyjnych w trybie ustawy o stopniach

naukowych... z 2003 roku oraz Ustawą z 3 lipca 2018 roku Przepisy wprowadzające ustawę – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Nie jest prawdą, jak pisze na s. 280 i często odwołuje się do tego faktu, że wnioski habilitacyjne można było składać na „starych zasadach” do 30 kwietnia 2018 roku. Z tego też powodu przedłożyła to, co wydawało się wystarczającym dowodem na naukowy charakter osiągnięć. W świetle obowiązującego prawa: „Art. 179. 1. Przewody doktorskie, postępowania habilitacyjne i postępowania o nadanie tytułu profesora wszczęte i niezakończone przed dniem wejścia w życie ustawy, o której mowa w art. 1, są przeprowadzane na zasadach dotychczasowych, z tym że jeżeli nadanie stopnia doktora, stopnia doktora habilitowanego lub tytułu profesora następuje po dniu 30 kwietnia 2019 r., stopień lub tytuł nadaje się w dziedzinach i dyscyplinach określonych w przepisach wydanych na podstawie art. 5 ust. 3 tej ustawy”.

„2. W okresie od dnia wejścia w życie ustawy, o której mowa w art. 1, do dnia 30 kwietnia 2019 r. przewody doktorskie, postępowania habilitacyjne i postępowania o nadanie tytułu profesora wszczyna się na podstawie przepisów dotychczasowych” (Izdebski, Zieliński, 2019, s. 652).

Jeżeli zatem krytykuje się procedury administracyjno-prawne, to warto najpierw dobrze sprawdzić, czy nie popełnia się błędu. W tym kontekście narracja o rzekomej konieczności pospiesznego złożenia wniosku traci swoją wiarygodność. Beata Karpińska-Musiał podporządkowała całą swoją narrację porażce, ale nie odniosła się do wszystkich argumentów i powodów, które doprowadziły do niepowodzenia. Wprawdzie czyni to w sposób względnie elegancki, ale rozmija się z faktami, a więc obiektywnie dającymi się zweryfikować danymi, jak i odmawia profesorkom-członkiniom komisji habilitacyjnej naukowej prawa do oceny jej publikacji. Nie jest jedyną osobą, która spotkała się z różnicą zdań i opinii, gdyż w naukach społecznych i humanistycznych jest to zupełnie oczywisty i naturalny ich atrybut. To nie są nauki ścisłe, w których każdy błąd może być z większą lub mniejszą łatwością wykryty i udowodniony.

Eksperci w dziedzinie nauk społecznych nie funkcjonują w binarnej przestrzeni. Ona sama pisze z podziwem o Foucaultowskim trójkącie dyskursywnym, o Foucaultiańskiej przestrzeni, wiedzy i władzy. Gdy jednak w grę wchodzi ocen jej dorobku, to upomina się o powrót do dualizmu, do systemu zero-jedynkowego. Jej publikacje naukowe nie były jednak jednoznacznie odrzucone. Dwóch członków komisji oceniło je jednoznacznie pozytywnie. Przeważały opinie z trzeciej interpretatywnej przestrzeni. Kiedy traktuje się naukę jako harcowanie, to trzeba konsekwentnie przyjąć habitus harcownika,

którego wytwory mogą być przez kogoś ocenione jako nierzetelne, niewłaściwe, nieadekwatne, a zatem i nie w pełni naukowe.

Wolność interpretatywna jest stałym elementem w ocenie stopnia naukowości przedkładanych do oceny rozpraw. Znakomicie pisze o tym Hubert Izdebski w swojej postdyscyplinarnej książce pt. „Ile jest nauki w nauce?” (2018). Autor był sekretarzem Centralnej Komisji Do Spraw Stopni i Tytułów. Warto ją przeczytać, by zrozumieć dylematy, z którymi muszą zmierzyć się naukowcy różnych dyscyplin nauk społecznych i humanistycznych. Warto też zwrócić uwagę na to, że fascynacja kategorią sprawstwa w kontekście naukowym ma także wymiar współsprawstwa i przeciwstawstwa. Oznacza to, że możemy sami stać się współpracami własnej porażki doświadczając zarazem w innych sferach życia osobistego, społecznego i zawodowego wiele sukcesów, radości i satysfakcji.

Autorka recenzowanej tu książki ma wiele radości, laurów i powodów do dumy. Ma też kapitał kulturowy, akademicki, naukowy, z którym może ponowić postępowanie habilitacyjne, czego jej szczerze życzę, bo problem koniecznej zmiany w dydaktyce akademickiej jest kluczowy dla przyszłości także polskiej nauki. To spośród absolwentów uczelni wyrastają kolejni uczeni. Warto zatem kontynuować ten proces zadbawszy nie o szablę, nie o pozory, ale o przekonujący merytorycznie i metodologicznie zakres, stan i opis wyników własnych badań. Bardzo dziękuję za książkę, która wciąga od pierwszej strony do ostatniej. Będę ją zatem polecał pedagogom krytycznym, by nie byli bezkrytycznie w studiowaniu jej treści. Podobnie jak Autorka nie widzę potrzeby do ujawniania szczegółów postępowania habilitacyjnego, bo wprowadzenie zamieszczenia ich w sieci nie spowodowałoby wycinki drzew, ale mogłoby niepotrzebnie zdezwuować inny, a jakże ważny społecznie i kulturowo sens Jej przekazu. Książka o matce-akademiczce jest zdecydowanie lepiej i mądrzej napisana niż dotycząca krytycznej analizy zdarzeń w macierzystym uniwersytecie monografia jej wydawniczego recenzenta.

Bibliografia:

- Goćkowski, J. (2000). *Ludzie „systemu” i ludzie „problemu”. Wieczna wojna w teatrze życia naukowego*. Kraków: Wydawnictwo i Drukarnia Secesja.
- Izdebski, H. (2018). *Ile jest nauki w nauce*. Warszawa: Wolters Kluwer.
- Izdebski, H., Zieliński, J. M. (2019). *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Komentarze*. Warszawa: Wolters Kluwer.
- Karpińska-Musiał, B. (2021). *Harcowanie na planie. Her-storya stawania się matką akademicką w polskim uniwersytecie*. Lublin: Wydawnictwo Episteme.
- Kwieciński, Z. (2007). *Między patosem a dekadencją. Studia i szkice socjopedagogiczne*. Wrocław: Wydawnictwo Naukowe DSW we Wrocławiu.
- Kwieciński, Z. (2019). *Grzędawisko. Eseje z pedagogiki społecznej i krytycznej socjologii edukacji*. Stary Toruń: Studio KROPKA – Piotr Kabaciński.
- Śliwerski, B. (2017). *Habilitacja. Diagnoza. Procedury Etyka. Postulaty*. Kraków: Oficyna Wydawnicza „Impuls”.
- Śliwerski, B. (2018). *Turystyka habilitacyjna Polaków na Słowację w latach 2005-2016. Studium krytyczne*. Łódź: Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego.
- Śliwerski, B. (2021). *Wprowadzenie do teorii krytykoznawstwa. Krytyka naukowa (nie tylko) w pedagogice*. Kraków: Oficyna Wydawnicza „Impuls”.